



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Józef Walkowiak

Wszyscy chcieli mnie zabić

Kiedy wybuchła II wojna światowa miałem ukończone 11 lat. Nie brałem udziału w walkach, a jednak... W dniu 8 września 1939 roku zostałem ostrzelany przez żołnierzy niemieckich wkraczających do Janowca. Działo się to w czasie, gdy wraz z innymi dziećmi biegaliśmy w lasku miejskim, po lewej stronie rzeki Welny. Hitlerowcy strzelali do nas z drugiego brzegu. Kryliśmy się za drzewami, dzięki temu nikt z nas nie został trafiony.

W dniu 3 października 1943 roku z grupą innych osób zostałem wywieziony do Poznania, a stamtąd 10 października wraz z tysiącem ludzi do III Rzeszy. Znalazłem się w Dortmund-Wambel Juchostrasse 20, jako ceniony, żywiony i ochraniany robotnik przymusowy. Ale teraz stałem się jednocześnie wrogiem żołnierzy armii alianckich walczących z Niemcami o moje wyzwolenie. Nie szczędzili więc sił i środków w codziennych nalotach, ażeby mnie zabić. W dniu 30 listopada 1944 roku celne bomby zdruzgotwały fabrykę i obóz pracy, w którym mieszkaliśmy. Wydostałem się zszokowany, na pół żywy spod sterty gruzu. Wokół buchały pożary. W tym momencie na niskim pułapie nadleciał olbrzymi samolot, na którego skrzydłach bieleły się gwiazdy. Uradowany z faktu, iż moje 16-letnie życie zostało uratowane, pomachałem w geście pozdrowienia i przyjaźni. W odpowiedzi z samolotu runęły serie z karabinów maszynowych. Gwizd rykoszetów przytłumił ryk maszyny. Wtedy zrozumiałem, że nie chodzi o fabryki, ale o ludzi żyjących na niemieckiej ziemi, których trzeba zabić.

Instykt życia, patriotyzm Polaka oraz rozum 16-latka podsunęły mi wreszcie myśl ucieczki do kraju, do domu. Podejmując tę decyzję nie miałem pojęcia o czyhających zagrożeniach. Nie wiedziałem także gdzie przebiegają fronty, a w szczególności Front Wschodni. Ponieważ Polakom wszelkie podróże były zabronione, przypiąłem sobie do płaszcza znaczek Niemieckiej Partii Pracy (DAF) i na podmiejskiej stacji wykupiłem bilet do miejscowości Soest. Niemcom wolno było podróżować bez zezwolenia na odległość 100 km, więc musiałem uciekać etapami. W Soest zostałem zatrzymany przez kolejarza, gdyż jak się okazało na zwykły bilet jechałem pociągiem pospiesznym. Z opresji wybawił mnie żołnierz żandarmerii polowej, który polecił mi dopłacić różnicę, a następnie, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, kazał mi odejść.

Na kolejnym etapie podróży pomogłem starszemu człowiekowi w płaszczu SA-mana wstawić ciężką walizkę, za co zostałem zaproszony do wspólnej podróży. W trakcie rozmowy Niemiec zorientował się, że nie jestem jego rodakiem i przestał rozmawiać ze mną. Po chwili do przedziału wszedł kolejarz, żołnierz żandarmerii polowej i funkcjonariusz Gestapo. Tym razem wiedziałem, że wpadłem. Wstałem i podniosłem rękę do góry. Jakież było moje zdumienie, kiedy „mój” SA-man powiedział: „To jest mój robotnik.

Podróżuje ze mną”. Nie skontrolowano mnie. Byłem ocalony. Wpadki na kolejnych etapach nauczyły mnie, że należy bacznie obserwować, a do pociągów wskakiwać w biegu.

Na stacji w Halle do ruszającego pociągu wskoczyłem prosto w ramiona oficera Wehrmachtu. Okazało się, że wagon przeznaczony był dla urlopowanych żołnierzy. Oficer zażądał ode mnie biletu i dokumentów. Po przejrzeniu „papierów” zorientował się kim jestem. Wstał, zdjął walizkę, poczęstował mnie kanapkami i powiedział: „Za wcześnie uciekasz, Polska jeszcze nie jest wyzwolona, ale Hitler przegrał. Armia rosyjska stoi na Wiśle”. Cieszyłem się, że nie będę musiał przechodzić przez front i spokojnie dotrę do domu.

Wieczorem 4 grudnia 1944 roku znalazłem się na stacji w Krotoszynie. Tu okazało się, że na bilet do Gniezna trzeba mieć pozwolenie. Przekupiłem przypadkowego Niemca, który wykupił go dla mnie, ale tylko do Jarocina. Na miejscu, gdy opuszczałem peron, zostałem zatrzymany przez cywilnego funkcjonariusza Gestapo. Wymierzony we mnie rewolwer nie dawał mi szans ucieczki. Po rewizji i dotkliwym pobiciu zostałem osadzony w jarocińskim więzieniu, skąd po tygodniowym pobycie przewieziono mnie do Prezydium Policji w Poznaniu. Nazajutrz po przesłuchaniu i kolejnym pobiciu, wraz z trzydziestoma więźniami zostałem przewieziony do obozu w Żabikowie koło Poznania.

Choć w obozie przebywałem przez krótki okres, było to dla mnie okrutne życie. W nocy z 21 na 22 stycznia 1945 roku pijani oprawcy wrzaskiem, biciem i strzałami zbudzili nas, wypędzając na oświetlony blaskiem płonących baraków plac obozowy i w otoczeniu uzbrojonej eskorty popędzono nas na zachód. Po drogach i przez pola, w morderczym marszu mijaliśmy wielkopolskie miasteczka: Buk, Opalenicę, Nowy Tomyśl. Eskorta złożona ze słowiańskich zdrajców ubranych w mundury SS bezlitośnie eliminowała słabych, chorych i próbujących uciekać. Mimo tragizmu naszego położenia, widoku panicznie uciekającej ludności cywilnej i wojska, nie traciliśmy nadziei na bliskie już wyzwolenie. Za Nowym Tomyślem zmaltretowanych więźniów zapędzono na nocny odpoczynek do bawarskiej stodoły, w której przeraźliwe zimno i głód skutecznie spędzały sen z powiek. W stodole trafiłem na miejsce, gdzie w spróchniałych deskach był otwór. Pomyślałem, że można by się przez niego wydostać. Nad ranem, gdy ucichły kroki wartowników, przeczołgałem się na zewnątrz. W oddali czerniała wstęga lasu. Gdy byłem około dwustu kroków od stodoły gruchnęła seria strzałów. Gwizd kul jaki usłyszałem wskazywał na to, że to ja byłem żywym celem. Zapadłem się w śnieg. Szeroko otwartymi ustami chwytałem powietrze. Zaschnięte w strachu gardło parzyło boleśnie. W szalonym rytmie pulsowało serce. Strzelec pewien był trafienia, więc nikt mnie nie ścigał. Od strony stodoły dochodziły wrzaski SS-manów. Wskazywało to, że formują kolumny do dalszego marszu. Tu, w zawianej śniegiem bruździe, było cicho i bezpiecznie. Jadłem śnieg, by stłumić ból zaschniętej krtani. Po odejściu kolumny więźniów powlokłem się do lasu i dalej do drogi, do Nowego Tomyśla. Byłem wolny. Zatłoczony przez uciekinierów Nowy Tomyśl przeszedłem bezpiecznie. Ponieważ droga do Opalenicy była ostrzeliwana z samolotów, skryłem się w lesie. Byłem przeraźliwie głodny. Gdy słońce pochyliło się ku zachodowi i ucichły odgłosy ruchu, wyszedłem na drogę. Na poboczu od strony Opalenicy stał ciężarowy samochód. Wyglądał na porzucony. Wróciłem do lasu i ruszyłem w kierunku pojazdu. Byłem już koło stu metrów od wozu, kiedy spostrzegłem zawieszoną na nim białą-czerwoną chorągiewkę, a na skrzyni wielkiego kalibru karabin maszynowy. Zdumiony zaskakującym widokiem, chciałem wyjść z lasu i przeszkukać wóz. Jednak instynkt uciekającego więźnia ostrzegł i uczył ostrożności. Cały czas zastanawiałem się, skąd na samochodzie wzięła się białą-czerwona chorągiew. Nieznane mi były sojusze i dyplomatyczne układy. Wiedziałem tylko, że nie ma Polski i naszego wojska. Co prawda w dortmundzkich obozach słyszałem o tym, że polscy lotnicy zrzucają z angielskich samolotów bomby na niemieckie fabryki i miasta, ale skąd się tutaj wzięły nasze barwy narodowe?

Tymczasem zaszło słońce, zapadł zmierzch. Wiedziałem, że jeśli nie wyjdę z lasu i nie znajdę pożywienia – zamarznę. Zamarzną też wszy, wierne towarzyszkę wszystkich wojennych tułaczy. Przeżegnałem się i wyszedłem na drogę. Od strony Grodziska Wielkopolskiego dochodziły odgłosy strzałów. Tu było cicho, przeraźliwie cicho. Nagle rozległo się znane mi od pięciu lat zawołanie: „Komm! Komm!”. Teraz wiedziałem, że wpadłem w zasadzkę zastawioną przez Niemców w tak perfidny sposób. Uniosłem ręce do góry. Na ugiętych ze strachu nogach zbliżałem się do samochodu. Gdy znajdowałem się w odległości dwudziestu kroków od pojazdu wyszedł z niego żołnierz odziany w inny niż niemiecki płaszcz. W ręku trzymał nieznaną mi broń. Na czapce miał czerwona gwiazdę. W trakcie rewizji i przesłuchania ujawniłem się i powiedziałem, że uciekłem z Niemiec, gdzie robiłem granaty do moździerzy. Żołnierz zapytał mnie, czy wiem co musi ze mną zrobić. Odparłem, że nie wiem. „Muszę cię zastrzelić, bo ty jesteś polski faszysta, zdrajca, który pracował dla niemieckiej armii. Wiesz ilu czerwonoarmistów zginęło od tych twoich granatów?” Odparłem, że nie wiem, ale musiałem je robić, bo Niemiec mnie zmusił. „Co znaczy zmusił?” „To znaczy, że byłem w niewoli, tak jak Rosjanie, którzy też robią granaty w niewoli” – odpowiedziałem. „Wszyscy oni będą zabici i ty też”. Plakałem i prosiłem, żeby mnie nie zabijał. Przecież ja od tych granatów uciekłem, ja byłem w więzieniu – tłumaczyłem. „Ale ty uciekłeś jak Czerwona Armia rozwaliała Niemcy” – odparł żołnierz. Skłamałem, gdyż tylko kłamstwem mogłem jeszcze ocalić życie. „Ja najpierw uciekłem w 1943 roku, a drugi raz, gdy Armia Czerwona

zbliżyła się do Poznania, gdzie siedziałem w więzieniu” – powiedziałem. Na dowód, że mówię prawdę, pokazałem swą ostrzyżoną głowę i odmówiłem „Ojcze nasz”.

Wkrótce znalazłem się w osadzie Porażyn. Wystraszona ludność przebywała w domach. Chodziłem po chatach z prośbą o pożywienie i nocleg. Jedzenie otrzymałem, lecz pod swój dach nikt nie chciał mnie przyjąć. Poszedłem do opuszczonego dworku. W pokoju było ciepło. Kafłowy piec był jeszcze gorący. Położyłem się na kanapie. Zmęczony wrażeniami dnia zapadłem w głęboki sen. Otworzyłem oczy i wyszeptalem – ja Polak. W tym momencie do pokoju wszedł wyższy rangą oficer. Mierzący we mnie czerwonoarmista powiedział: „Gawari czto on Polak! Kakoj on Polak, kak u niego Hitler?” – zapytał. W ślad za żołnierzem podniosłem wzrok do góry. Nad kanapą na ścianie wisiał dużych rozmiarów portret Adolfa Hitlera. „Ja tu nie mieszkam” – zawołałem. „Ja Polak z niemieckiego więzienia” – tłumaczyłem się. „Polak dawaj twójgo Hitlera” – odpowiedział na to oficer. Podałem mu obraz, którym trzasnął o stół. Posypało się szkło. Na portrecie napisał czerwonym ołówkiem „KAPUT”, po czym rzucił obraz na podłogę. „Polak deptaj swojego Hitlera” – rozkazał. Uczyniłem, co kazał i pozwolił mi odejść. Poprosiłem o przepustkę, ale on powiedział, że jej nie potrzebuję, ponieważ rosyjscy żołnierze mnie nie zatrzymają. Wyszedłem.

Udałem się w drogę do pobliskiej już Opalenicy. Gdy znalazłem się około 300 metrów za Porażynem świsnęła kula i rozległ się huk strzału. Na drodze byłem sam. Obejrzałem się za siebie. Na drodze w Porażynie stała grupa czerwonoarmistów. Krzykiem i gestami rąk nakazywali mi biec. Świsnęła kula. Zdałem sobie sprawę, że strzelają do mnie. Kiedy wystrzelono kolejną kulę, upadłem i stoczyłem się do rowu. Wtedy dobiegła mnie salwa śmiechu i okrzyków.

Do Opalenicy dotarłem w godzinach popołudniowych. W miasteczku było dużo żołnierzy, wielu z nich pijanych. Ludność hojnie obdarowywała mnie żywnością i alkoholem pochodzącym z rozbitego wagonu. U jednego z gospodarzy otrzymałem kwaterę w oborze, w której mieszkało już kilkoro tułaczy wojennych. Wszyscy suto zaopatrzeni w żywność i alkohol. Spożyliśmy kolację i położyliśmy się na barłogu. Rano padły strzały, gromada czerwonoarmistów otoczyła nas. Krzykiem i uderzeniami kolb zostaliśmy wypędzeni na podwórze. Wrzeszczeli, że jesteśmy faszystami i szpiegami, na co my wykrzykiwaliśmy, że jesteśmy Polakami. Na podwórzu trwał rwetes, nasze położenie było tragiczne. W pewnym momencie przed oborę wpadł oficer z rewolwerem w rękę. „Wiązanką” komend rozpędził otaczających nas żołnierzy. „Wy kto? Dokumenty u was są?” – warknął. Okazało się, że nikt z nas nie ma „papierów”. Poczuliśmy tłumaczyć, że dokumentów nie mamy, ale jesteśmy Polakami. Na rozkaz oficera dwóch żołnierzy ustawiło nas w szeregu i dokonało rewizji osobistej. Na śnieg poleciały nasze „wojenne zdobycze”: chleb, konserwy i alkohol. W niebo buchnął płacz, krzyk, prośby i zaklęcia, żeśmy są Polakami. Oskarżali nas o podawanie znaków świetlnych niemieckim lotnikom. Uratowało nas to, że nikt nie miał latarki ani zapalek. Oficer zabrał żołnierzy. Straciliśmy żywność, ale byliśmy wolni. Gospodarz zażądał, abyśmy opuścili oborę i doradził uciekać osobno.

Szybko trafiłem na drogę do Buku i dalej do obleżonego Poznania. Zatrzymywany byłem przez czerwonoarmistów, później przez funkcjonariuszy Milicji we wszystkich większych miastach, przez które przechodziłem. Śpiewaniem polskiego hymnu i odmawianiem modlitw dokumentowałem swoją polskość.

Do Janowca przyszedłem w dniu 2 lutego 1945 roku, po 63 dniach samotnej ucieczki z Dortmundu. Do domu wróciłem jako 17 letni „starzec”, chory na żółtaczkę i skrajnie wyczerpany. Gdy matce, która mnie nie poznała powiedziałem kim jestem – zemdląłem.